

Wiesław Wyszyński

część I z III

Sygnatura notacji: **N1443**

Data urodzenia: **28.02.1938 r.**

Data nagrania: **08.07.2020 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Giżycko, Polska.**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski, Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 56 min, część III: 49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wiesław Wyszyński: Nazywam się Wiesław Wyszyński. Urodziłem się 28 lutego 1938 roku w Warszawie. Moim ojcem był Stanisław Wyszyński, którego nie znam, ponieważ zginął w pierwszych dniach wojny w 1939 roku. I od tego czasu wychowywała mnie matka Stanisława, z domu Majewska, i wraz z jej matką, czyli moją babką, mieszkaliśmy w Warszawie na ulicy Nowy Świat [fakt. Rynek Nowego Miasta] 19 na Starówce. Z tamtego okresu poprzedzającego Powstanie Warszawskie pamiętam dwie, może trzy sceny, które się zdarzyły, które utkwiły mi w pamięci i są charakterystyczne dla tamtego okresu. Pierwsza wyglądała tak. Siedziałem z kolegą przed domem, w którym mieszkałem, na chodniku z nogami opuszczonymi na asfalt. Nudziliśmy się i szczyrnikami dłubaliśmy w rozmiękłym od upału asfalcie, no i prowadziliśmy rozmowę towarzyską. I nagle, ni stąd, ni zowąd, od strony ulicy Kościelnej wyszła gromada ludzi. Szli pospiesznym krokiem, zwarci jako grupa. Jak się przyjrzelśmy, co się okazało? Ci ludzie, w środku było ich może osiem osób, mieli podniesione ręce, bądź też splecione na karku. Otaczali ich cywile w kapeluszach, a jakże i z pistoletami w ręku i towarzyszyli tym grajnikom jeszcze granatowi policjanci. Szybko ta grupa przeszła koło nas, w kierunku ulicy Freta, weszli w Freta i zniknęli. Mimo, że miałem wtedy i mój kolega jakieś może sześć lat, może pięć, zrozumieliśmy, co się dzieje. Wiedzieliśmy, że ci ludzie już długo nie pożyją. W takiej atmosferze żyliśmy cały czas. Drugi taki przypadek, jadę z matką tramwajem i mam przy sobie dziecinną taką zabawkową szabelkę. Tłok w tramwaju i przepychamy się z trudem do wyjścia, i wreszcie jak udało nam się na przystanku wyjść z tramwaju, z radości, z tego faktu, że udało nam się wyjść, wyjąłem tę szabelkę, podniosłem do góry i zawołałem „Hurra!”. A na przystanku stało kilku żołnierzy niemieckich. I jeden tak sarkastycznie mówi: „Polnische banditen!”. Matka szybko mnie złapała za rękę i uciekliśmy, bo baliśmy się jakichś dalszych reakcji ze strony tych żołnierzy. I w takiej atmosferze przebiegało całe nasze życie. Ponieważ mieszkaliśmy tylko w trójkę, w dosyć obszernym mieszkaniu tam na Starówce,

to często nasi znajomi, którzy mieli coś do załatwienia, takiego niezbyt dozwolonego w tamtych czasach, przychodzili do nas i ponieważ wiedzieli, że tu jest mało kontaktów, mało przypadkowych spotkań, to czuli się bezpieczni. I byłem świadkiem takiej scenki kiedyś. Stałem z matką w kuchni, a w owym czasie w tamtym budynku jeszcze, gdzie mieszkaliśmy, były tak zwane kuchenne schody od strony podwórka, przylepione tak do muru schody. No i stoimy w tej kuchni i naraz przychodzi do nas znajomy mężczyzna, Tolek, zaprzyjaźniony z nami, i mówi do mojej matki: „Stacha, kupiłem od żołnierza niemieckiego dwa granaty, schowaj je gdzieś, bo ja muszę wyjść do domu, a nie chcę po ulicy chodzić z tymi granatami”. I w tym momencie, jak matka wzięła od niego te dwa granaty zawinięte w gazetę, słyszymy, że po tych kuchennych schodach ktoś wchodzi na górę i za chwilę będzie przechodził pod oknem, czyli będzie mógł wszystko widzieć. I matka przestraszona wsadziła te granaty do popielnika od kuchni. Na szczęście w tym czasie się w piecu nie paliło, to było wyczyszczone, tak że nic się nie mogło stać, ale ten odruch był taki rozpaczliwy, że matka panicznie chciała gdzieś te granaty schować i wsadziła je właśnie tam. Także w takiej scenerii cały czas człowiek żył w strachu, bo my wiedzieliśmy dokładnie, co się dzieje, mimo że mieliśmy lat niewiele. I tak to się jakoś plotło w nędzy, bo przecież matka dorabiała, szmuglując jakieś tam produkty ze wsi, od zaprzyjaźnionych ziemian, u których kiedyś spędzała jako młoda dziewczyna wakacje, wczasy. I to czasami jeździła tam na szmugiel, ale to było wszystko tylko tak na styk. Żyliśmy w bardzo trudnej... No wyprzedawaliśmy się, bo jeszcze przed wojną nasza rodzina była dosyć zamożna. Mój dziadek, Majewski, był inżynierem kolejnictwa, pracował w Najwyższej Izbie Kontroli, tak że powodziło nam się dobrze. To potem ta bieda wynikająca z wojny była dla nas tym bardziej dotkliwa, bo był ten kontrast między tym, co było, a tym co jest. No i w takiej sytuacji dotrwaliliśmy do czasu przybliżenia się Powstania Warszawskiego. O tym, że Powstanie będzie, to już przez dłuższy okres się mówiło, bo nawet ci, którzy nie należą do jakichś organizacji zbrojnych, do AK czy do innych organizacji, to już przeczuwali, że będzie, bo jakieś przymiarki do tego były, wśród młodzieży zwłaszcza. No, ale któregoś dnia przyszedł do nas znajomy, zaprzyjaźniony Tolek, który nam podrzucił te granaty i mówi: „Stacha, jutro będzie Powstanie”. Matka w pierwszym odruchu mówi: „Tak, a zrobisz to Powstanie ty do spółki z Haliną”, bo Halina to była narzeczoną tego Tolka, która nawiasem mówiąc dotrwała z nami aż do wyzwolenia. Ale mimo żartów uwierzyła w to i wychodząc następnego dnia do pracy, zabrała mnie ze sobą. I w jakimś nieprzemyślanym odruchu zabrała z domu nic więcej, tylko cały zestaw rodzinnych fotografii. Jeszcze począwszy od dalekich naszych przodków, aż do współczesnych zdjęć, wsadziła to wszystko do torby i o dziwo te zdjęcia się przechowały przez całą wojnę. Mam je. No i poszliśmy następnego dnia do pracy. Matka pracowała wtedy nad ulicą Czackiego. W tym gmachu, tam była jakaś podobno drukarnia, w tym gmachu, w którym obecnie chyba nadal jest siedziba Naczelnej Organizacji Technicznej. I tam, jak już w godzinach popołudniowych Powstanie wybuchło, to myśmy zeszli do piwnicy. W tych piwnicach, w tym gmachu przebywaliśmy przez długi, długi okres, chyba kilka tygodni nawet. Nie tylko my, bo tam tak się złożyło, że tam było masę przypadkowych ludzi, którzy w momencie wybuchu Powstania albo przechodzili ulicą, nie mieli się gdzie schronić, albo gdzieś tam pracowali w pobliżu, bo w tej piwnicy było bardzo dużo ludzi, zresztą te piwnice były bardzo obszerne. I my się nawzajem w ogóle nie znaliśmy. Także taki przypadkowy zbiór osób tam był. I tam spędziliśmy kilka tygodni chyba, tak oceniam ten okres. I z piwnic mogli... Aha, a jeszcze to podwórko było tak jak typowe w tych budynkach z tamtych czasów, czworokątne podwórko i z każdej strony jakaś część tego budynku. I w tamtym przypadku z jednej strony, od strony Świętokrzyskiej, tak jak ja sobie kojarzę, ten budynek był zburzony. I na tych gruzach była barykada i żołnierze z AK bronili tej barykady. Także walki tam się toczyły prawie zawsze. Przy czym jak był jakiś okres przerwy, nie było strzelaniny, no to można było wyjść na podwórko, odetchnąć świeżym powietrzem. Jak

się zaczynała strzelanina, to wszyscy z powrotem do tych piwnic. I tam zdarzyło się kilka charakterystycznych rzeczy takich. Wśród tych ludzi, którzy byli w piwnicy, była między innymi młoda kobieta z niemowlęciem na ręku. To niemowlę miało parę tygodni. I ta kobieta jak upiór chodziła dzień i noc po tym korytarzu i szeptała: „Ona umrze, ona umrze, ona umrze”. Bo faktycznie ta kobieta nie miała pokarmu w piersiach, nie było niczego, co to niemowlę mogło jeść. Więc ona była bezradna zupełnie. Tam niektóre kobiety starały się jej pomóc. W kawałku gałganka zawijały odrobinę cukru, moczyły, dawały niemowlęciu do ssania, ale ona nie mogła. Więc ona krążyła tak jak upiór przez kilka dni, dzień i noc. I to dziecko w końcu zmarło. Ona nie pozwoliła sobie tego dziecka zabrać i z tym trupem chodziła dzień i noc, przez kilka dni, aż padła. Pamiętam, że na twarzy tego dziecka siadały muchy i pozostawiały takie czarne kropki po sobie. I ja, i inne dzieci, bo były tam jeszcze inne dzieci, takie w moim wieku mniej więcej, podchodziły jeszcze tak, jak bezmyślne dzieciaki dotykały twarzy tego dziecka i tych kropek. Była tam też w tych piwnicach, bo to były bardzo rozległe piwnice, była tam też jakaś komórka sztabowa, dowódcza AK i tam byłem świadkiem przedziwnej, jak na taką sytuację sceny. Jeden z żołnierzy, którzy walczyli na barykadzie, raptem któregoś dnia po zejściu z barykady w tej piwnicy zaczął gwałtownie czyścić swoją odzież, porządkować, próbował się nawet ogolić. Jak go zapytaliśmy, co on taki elegancki, co się stało, to on powiedział, że idzie zdawać egzamin na wyższy stopień wojskowy. I faktycznie ja zainteresowany, jak to będzie wyglądało, poszedłem za nim i w jednym z pomieszczeń w tej piwnicy siedziało trzech panów za stołem, bardzo dystyngowanych, surowy wygląd, chociaż to śmiesznie wyglądało, bo cywilne ubrania mieli pomieszane z jakimiś elementami mundurów, ale przede wszystkim taki surowy wyraz twarzy ich charakteryzował. No i zaczęli egzaminować tego żołnierza. On stał na baczność przed tym stołem, oni zadawali mu jakieś pytania z dziedziny wojskowości, ale takim surowym tonem, jakby zupełnie ten człowiek był dla nich obcy i nawet jakiś nieprzyjazny. Człowiek parę kroków dalej walczył na barykadzie, oni go traktowali tak surowo, jak na mój wzgląd surowo, może obyczaj wojskowy tak to wymuszają. No i zadawali mu te pytania z dziedziny wojskowości, jakieś formułki tam klepał bardzo energicznie, aż doszło do tego, że zaczęli go musztrować: „Naprzód, marsz, w lewo zwrot, w prawo zwrot, baczność, spocznij”, takie formułki, które nie przystawały do tych realiów, które tam były. No i zdał ten egzamin, potem jak z nami się zetknął tam już w dalszych częściach piwnicy, to mówił, że awansował. I co się jeszcze w tej piwnicy zdarzyło? Przede wszystkim głód, ponieważ ludzie tam zgromadzeni trafili tam przypadkowo zupełnie, nieprzygotowani do tej sytuacji, więc myśmy strasznie głodowali. Łapaliśmy gołębice, to znaczy nie ja, ale inne dorosłe osoby łapali gołębice, to znaczy te gołębice były poparzone przez pożary, do tego osłabione, bo też na pewno nie miały co jeść i siadywały tak na parapetach, na gzymsach i dawały się łatwo złapać, więc łapano te gołębice i gotowano z nich tam jakieś rosół. Raz pamiętam, że ktoś się wyprawił do sąsiadującego domu, który był opuszczony, nikt tam już nie mieszkał i z opuszczonego mieszkania przyniósł słoje soku jagodowego. Jagody nastawione w takim dużym słoju na sok i ten sój był pełny tego soku, na wierzchu pływała warstwa już takich sfermentowanych jagód, na tych jagodach pętały białe robaczki i my byliśmy bardzo szczęśliwi, że możemy to zjeść, wypić. Był w tym kręgu ludzi jeszcze taki charakterystyczny człowiek, dorożkarz warszawski. Dawał się poznać po tym, że nosił taki charakterystyczny kaszket jak dorożkarze warszawscy, i chodził wiecznie z batem. On codziennie się wymykał z tych naszych piwnic i w ogóle z tego budynku. Ostrożnie badał otoczenie, wyglądał na ulicę, czy może wyjść i zniknąć na jakąś godzinę, wracał po godzinie i mówił, że był nakarmić konia. Traktowaliśmy to jako wymówkę nic nieznaczącą. Nie wierzyliśmy w to, że on rzeczywiście ma konia, za którymś razem wrócił rzeczywiście z koniem. Ten koń był wychudzony i ten dorożkarz błagał żołnierzy z barykady, żeby zastrzelili tego konia. Bo mówił, że nie ma czym go karmić, nie ma czym go poić i ten koń cierpi. Żołnierze oczywiście współczuli,

głaskali tego konia, poklepywali, ale tłumaczyli, że żal im każdego naboju, bo nie mają nabojów. Ale w końcu któryś nie wstrzymał i zastrzelił tego konia. Zjedliśmy go oczywiście. No i był jeden triumfalny wypadek, który nas nieco ucieszył. Ci żołnierze z barykady gdzieś złapali niemieckiego żołnierza jako jeńca. Jak już potem z rozmów wynikało jeden z tych żołnierzy miał żyłkę myśliwego i czasami opuszczał tę placówkę swoją. Łaził gdzieś tam zaułkami, po jakichś wertepach. Jak mu się udało znaleźć samego Niemca i właśnie mu się wtedy udało, to albo go zabijał nożem, albo tak jak w tym przypadku, przyprowadził tego Niemca na tę barykadę. No i jak po piwnicy rozeszła się wieść, że mamy Niemca, mamy jeńca, niemieckiego żołnierza, to wszyscy wybiegli na podwórko zobaczyć. I rzeczywiście stał młody, taki krępy, niski mężczyzna w mundurze, bez broni już oczywiście, bez pasa i trząsł się cały ze strachu. Bał się okropnie. Bez czapki, blondyn taki, pamiętam jasna taka cera, typowy nordyk, blondyn, jasne oczy. I cały trzęsący się ze strachu. I ten, ponieważ był dość korpulentny, taki tłustawy, to jego drżenie szczególnie ujawniało się na pośladkach. I ktoś z tych towarzyszących mi osób mówi: „Patrz jak mu się dupa trzęsie”. To wzbudziło ogromny śmiech, ale rzeczywiście to była chwila triumfu, że Niemiec nas się boi. No i jak powiedziałem, w tę nieokreśloną ilość czasu, tkwiliśmy tam w tej piwnicy, a jeszcze raz wybuch... Czy to była bomba, czy jakiś z cięższych kalibrowo pocisków. Gdzieś wybuch tuż przy tej piwnicy naszej, bo wiem, że nas ogłuszyło. Ja straciłem w ogóle świadomość. Nic mnie nie bolało, ale ciemno mi się zrobiło przed oczami i przez jakiś czas, jak potem inne osoby mówiły, byłem nieprzytomny. Ogłuszyło mnie od tego wybuchu i dopiero po jakiejś chwili poczułem, jak jakieś mokre krople spadają mi na twarz, ktoś mnie klepie po twarzy i wróciła mi świadomość. I pewnego dnia przyszedł do nas oficjalnie żołnierz z barykady i powiedział wszystkim wobec, że oni już nie są w stanie tej barykady utrzymać, że w nocy będą się wycofywać i radzą nam, żebyśmy też szybko razem z nimi się wycofali stamtąd i przeszli na jakąś inną dzielnicę, że oni nas przeprowadzą nawet, ponieważ oni się wycofują, nie są w stanie już dalej tutaj walczyć. A jak się wycofają, to wejdą Niemcy do spółki z tą armią Własowa, z tymi Ukraińcami i nas wymordują. No i faktycznie doczekaliśmy do nocy, przyszedł jeden z żołnierzy i mówi, że on będzie przewodnikiem i jeszcze przez jakiś moment ci na barykadzie będą się bronić, żeby dać nam czas na odejście. I zebraliśmy się, nie mieliśmy się co zbierać, bo my byliśmy zawsze gotowi do wymarszu. I wyszliśmy po wielu dniach, po raz pierwszy wyszliśmy na podwórko, bo ostatnio toczyły się tam takie ostre walki, że nie mogliśmy w ogóle wychodzić z piwnicy. No i po raz pierwszy jak wyszedłem na to podwórko, już po nocy, ale po nocy, dookoła wszystko płonęło. Było widno jak w dzień, tylko z taką czerwoną poświatą, ale widno było. Wyszliśmy na podwórko i ja się mocno zdziwiłem, bo to było podwórko dotychczas pokryte gładkim asfaltem, uporządkowane, Tymczasem teraz jak wyszliśmy pełno było jakichś pagórków, płyty papy, papiery jakieś. Zdziwiłem się, nie wiedziałem co to jest, ale matka mnie ciągnęła za rękę, przechodziliśmy i nadepnąłem na jeden z tych pagórków i co się okazało, to był trup. Całe podwórko było tak uśnane trupami, że nie sposób było przejść. To byli ci żołnierze z barykady. Już nie było czasu, żeby ich pochować. Opuściliśmy tę ulicę Czackiego. Ja nie wiem, gdzie nas prowadził ten żołnierz. Już nie rozpoznawałem, nie znałem na tyle dobrze Warszawy, żeby się orientować, gdzie ja jestem, ponieważ znałem Starówkę, ale innych dzielnic nie znałem dobrze albo wcale. Utknął mi jeszcze w pamięci taki moment, przechodziliśmy jakimś wykopem. Jezdnia w poprzek była przekopana bardzo głęboko od jednego budynku do drugiego. Ten wykop był tak głęboki, że ponad głowy osób i powierzchnia jezdni wystawała, i szeroki. Nie wiem, w jakim celu tak duży ten wykop był. Przechodziliśmy tam pojedynczo gęsiego jeden za drugim. Wszyscy się wzajemnie upominali, żeby być cicho, bo gdzieś tam w pobliżu, w jakichś budynkach już byli ci Ukraińcy, których się panicznie wszyscy bali. I trafiliśmy na taki obrazek, taką scenę, zupełnie nierealną, jak z innego świata. Pod ścianą tego wykopu siedziało kilka osób zrezygnowanych. Widać było, że są wy-

męczeni, albo nie mają siły już nigdzie iść, albo już im wszystko jedno. Wśród tych kobiet była jedna taka dosyć starsza pani. Na ziemi ułożyła dwie cegiełki prostopadle. Między tymi cegiełkami tlił się jakiś mały ogienek z kilku patyczków. Na tym stał mały garnuszek, w którym na dnie jakiś płyn się pitraśił. I ona do każdego z przechodzących osób zwracała się, patrząc w oczy i mówiła: „Może zje pan trochę zupki?” I wszyscy, o dziwo, jak umówieni, tak wyczuwali nonsensowność tej sytuacji, że odpowiadali: „Dziękuję bardzo, ale nie jestem głodny”. Jak na tym odcinku przechodziłem przed nią, za nią, to wiecznie słyszałem: „Może pani zje trochę zupki?” „Dziękuję, nie jestem głodna”. To była scena jak nie z tego świata. Zupełnie. I potem krążyliśmy, aż do upadku Powstania, krążyliśmy po Warszawie, nie wiem, w jakich miejscach byliśmy w każdym razie ciągle się przenosiliśmy tam, gdzie jeszcze nie ma Niemców. I utworzyła się jakaś taka grupa wzajemnej adoracji, że ciągle było nas tam 10-15 osób, ciągle razem byliśmy, jakoś dziwnym przypadkiem. I z takich znajomych mi to była oczywiście moja matka i przyjaciółka mojej matki, Halina, Ruda na nią mówiliśmy, bo faktycznie była naturalnie ruda. Potem już po wojnie wyszła za mąż w Warszawie i nazywała się z męża Tomala, panieńskie nazwisko miała chyba Spedalska, o ile dobrze pamiętam. I ona się tak z nami trzymała, no i jeszcze tych kilka osób. Jeszcze w tej naszej grupce był ksiądz, który też wędrował, tak unikając Niemców. Starszy, maleńki taki człowieczek, wiecznie życzliwie uśmiechnięty, starszawy już nieco. I on tak inicjował jakieś tam wspólne modły, jak ktoś poczuł się słabo, to tam udzielał mu pocieszenia i tak z nami wędrował. I w związku z nim utkwił mi w pamięci pewien też taki charakterystyczny moment, trochę śmieszny nawet i taki dwuznaczny. Dotarliśmy do jakiegoś obszernego podwórka, albo to był jakiś placyk między budynkami, albo bardzo rozległe podwórko. I na tym podwórku na środku była pompa, taka zwykła, którą można było pompować wodę. I stała tam długa kolejka ludzi w nadziei, że nareszcie będzie można się napić wody, może nawet umyć. I my też stanęliśmy w tej kolejce. I stoimy w tej kolejce, ten placyk taki dosyć zaludniony stał się i w pewnym momencie słychać ryk silnika samolotowego i nad tym placikiem przeleciał samolot. Tak nisko i pochylony był na jedno skrzydło, że ja dokładnie widziałem twarz pilota. Dokładnie. Przeleciał, ale ten warkot nie ucichł całkiem, widać, że gdzieś w oddali zawrócił. Przeleciał i jeszcze raz, przyleciał jeszcze raz, nabrał już takiej pozycji, że mógł ostrzelać ten placyk i z karabinów maszynowych, jak sieknął po nas, nazabijał kupę ludzi. Część się rozbiegła do pobliskich budynków, część padła, część rzeczywiście padła, bo została zabita, część była rannych i odleciał. Ci, co przeżyli, odczekali jeszcze chwilę, czy on wróci. Jak nie wracał, to się z tych domów poschodzili z powrotem do tej pompy i zaczęli tak strasznie przeklinać na tego Niemca. Najgorsze wymysły ordynarne, przekleństwa pod jego adresem leciały. I ten ksiądz, który był z nami, tak słuchał tego, słuchał, i wreszcie tak unióś rękę, dając znać, że chce coś powiedzieć i powiedział: „Proszę Państwa, czyż zamiast tak złorzeczyć na tego Niemca, nie lepiej zmówić w jego intencji „Wieczne odpoczywanie racz ci [mu] dać Panie?” To można właśnie bardzo różnie rozumieć, ale ja to wtedy zrozumiałem, że niech cię szlag trafi po prostu. No i w zasadzie to był taki jakiś chyba ostatni epizod z tego Powstania Warszawskiego, który ja zapamiętałem, bo potem już pamiętam tylko, jak nas gnano na piechotę do Pruszkowa. Gnano nas, to miejscami był taki bezładny tłum, potem to się formowało w jakąś taką kolumnę, luźną dosyć. Tej eskorty niemieckiej też nie było za wiele i nawet teraz, wtedy tak nie kombinowałem, ale z dzisiejszego punktu widzenia, jak to wspominam, to myślę, że nawet można było zwać z tego pochodu całego, bo ta eskorta żołnierzy niemieckich była taka dosyć rzadka. Momentami się jakoś tak, co na zakrętach jakoś komplikowało, tak że tylko w czym był problem? Myśmy już nie mieli gdzie uciekać. Po prostu nie mieliśmy gdzie. I w pewnym..., my byliśmy głodni, spragnieni. Dzień był akurat upalny, pogodny bardzo. My byliśmy osłabieni i w pewnym momencie przechodziliśmy koło ogromnego pola obsadzonego pomidorami. Wprawdzie to już był październik, ale widocznie nikt tych pomidorów nie zbierał, bo część

tych pomidorów leżała, już opadła na ziemię, część na krzakach jeszcze wisała, dojrzałych takich czerwonych. I to była dla nas tortura, bo tu widzimy takie piękne owoce, soczyste, a nie wolno do tego podejść. Ale w pewnym momencie paru mężczyzn z tej naszej kolumny jakoś się dogadało z najbliższymi eskortującymi Niemcami i za ich cichym przyzwoleniem wskoczyli w te pomidory i zaczęli zbierać. Uzbierali trochę tych pomidorów i przynieśli. Ja dostałem jednego pomidora. No i to już był koniec z Powstaniem. Dotarliśmy do Pruszkowa i tam zgoniono nas do jakiejś hali dworcowej. To była hala, na której reparowano chyba tabor kolejowy, bo ogromny taki..., hala ogromna, przestrzenna na wszystkie strony i tam nas zgoniono. Siedzieliśmy tak na ziemi, czekając na dalszy los. I jak zwykle razem byliśmy we trójkę, matka i Halina Ruda. I siedzimy tak czekając, co będzie dalej i patrzymy, przyszedł jakiś niemiecki żołnierz. Taki dojrzały wiekiem, zażywny, dosyć dobrze zbudowany, i tak łąził między tymi siedzącymi ludźmi, rozglądał się, łąził, nic nie mówił i wreszcie podszedł do nas i kazał nam iść za sobą, to znaczy naszej trójce, matce, Halinie i mnie. Wyprowadził nas z tej hali, zaprowadził gdzieś na obrzeże Pruszkowa, taka dzielnica była domków jednorodzinnych, willi, wprowadził nas do jednej z willi i łamaną polszczyzną mówi tak, trochę na miga, trochę, no, znał trochę polskiego, że on ma za zadanie ten dom przygotować na kwaterę jakiegoś wyższego dowódcy niemieckiego i trzeba ten dom uporządkować. On przyniesie za chwilę jakieś tam story, firanki, coś do jedzenia, środki czystości, a my przez ten czas, jak on wyjdzie, mamy posprzątać, co się da i czekać, aż on przyjdzie i jak już urządzimy ten dom, uporządkujemy, to matka i Halina, one dwie mają być służącymi tego dowódcy, no a o mnie nie wspomniał, bo rozumiało się, że ja tam w tym towarzystwie też zostanę. I poszedł, zostawił nas, bez żadnego dozoru, bez niczego. Pusta Willa, jesteśmy sami. Byliśmy oszołomieni tym wszystkim. Sądziliśmy, że to jakiś podstęp. Matka z Haliną ostrożnie zaczęły wyglądać na ulicę, czy ktoś stoi, czy ktoś pilnuje, nikt nie pilnuje. Więc zaczęły ze sobą rozmawiać, że trzeba uciekać. Ale tak, z jednej strony uciekać, ale gdzie? Nie mamy gdzie. Nie mamy żadnej możliwości ukrycia się, przecież za przechowywanie uciekiniera kula w łeb natychmiast. I z tych rozmów matki z Haliną wynikała jeszcze przede wszystkim taka niechęć, że mimo, że byliśmy zgnojeni doszczętnie, to jednak być służącą szwaba, za skarby. Taka nuta przebiegała z tych rozmów matki z Haliną. No i przeważała taka sprawa, ponieważ matka z rodzicami, jeszcze jako panienka, często wyjeżdżała na letnisko do jakichś zaprzyjaźnionych ziemian, w pobliżu gdzieś tam Pruszkowa, i skojarzyła, że może tam znajdzie jakiś ratunek. No i namówiła tą Halinę, że uciekamy, dojdziemy jakoś. Mam tam znajomych, przyjaciół, których bywaliśmy zawsze na letniku. Może nam się uda. I uciekliśmy. Uciekliśmy z tej willi. Jak się potem dowiedzieliśmy, to ten Niemiec jak wrócił i nas nie zastał, bo matka jeszcze miała koleżankę jakąś w Pruszkowie. I zanim oddaliliśmy się poza Pruszków, to wstąpiliśmy do tej koleżanki, zorientować się, czy jest tu jakaś szansa przechowania się w Pruszkowie. Ja to pamiętam. I od tej koleżanki dowiedzieliśmy się, że ten Niemiec jak wrócił i nas nie zastał, wpadł w szaf. Ponieważ zostawił do zawieszenia taką zieloną, z pięknego materiału kotarę, żeby to zawiesić na okno, a my, uciekając, matka z Haliną wzięła tę kotarę i po drodze przechodziliśmy przez targowisko, i sprzedała jakąś straganiarce, żeby mieć jakieś środki do życia w czasie tej ucieczki. I ten żołnierz na targu znalazł tę kotarę u tej straganiary, szukając nas, bo sądził, że my też gdzieś tam na tym targu będziemy. I skatował strasznie tę straganiarę. No, ale my już byliśmy poza Pruszkowem i przez jakieś dwa-trzy dni tułaliśmy się po wsiach, po wsiach, po lasach, po najrozmaitszych wertepach. Nic nie jedliśmy. Dwa razy pamiętam, że nocowaliśmy w jakiejś chłopskiej chacie. Jacyś rolnicy przyjęli nas na nocleg, ale też, ponieważ nędza była, oni sami nie mieli coś, to nic tam do jedzenia nie było. Raz u jakiejś samotnej kobiety z dziećmi mieszkaliśmy, rolniczki, raz u jakichś rolników, takich biedaków, gdzie było małżeństwo takie starsze. I tam z tamtego noclegu zapamiętałem, że wieczorem siedzieliśmy w kuchni, było już ciemno i raptem do tego domku weszło dwóch żołnierzy niemieckich

z karabinami. Usiedli, zaczęli zagadywać jakoś, poczęstowali mnie cukierkiem: "bom-bom, bitte". Usiedli, siedzieliśmy wszyscy w takiej maleńkiej kuchence, tam się coś jarzyło w tej kuchni, tu jakaś lampa naftowa się tliła. Zaczął jeden z nich grać na organkach. Co się okazało potem? To byli żołnierze, którzy mieli za zadanie patrolować tory kolejowe pobliskie. Ponieważ bali się partyzantów, to woleli przesiedzieć w chłopskiej chałupie. I w czasie jak oni siedzieli w tej chałupie, ja siedziałem tak, akurat że okna miałem naprzeciwko i oni tu siedzą, ci Niemcy przy kuchni grają na organkach, ci gospodarze siedzą, milcząc, my też siedzimy milcząc, i za oknem mignęła mi, właśnie tak się przesunęła taka krwawa plama ludzkiej twarzy. Krwawa dlatego, że oświetlone było to pomieszczenie ogniem z kuchni głównie, taki krwawy poblask i ktoś, kto nas podglądał z zewnątrz, prawdopodobnie to był jakiś partyzant, podglądał, co robią żołnierze w tej chałupie. Mignął tak i poszedł. I to była ostatnia rzecz, którą ja pamiętam z tej ucieczki. Nie wiem dlaczego, może z wyczerpania. Urwał mi się film po prostu. Już nic dalej nie pamiętam. Pamięć mi wróciła, świadomość mi wróciła dopiero jak byliśmy w obozie w Bergfelde. Chyba po prostu byłem wyczerpany, przestałem rejestrować to, co się ze mną dzieje. No i w zasadzie to nic dziwnego. Nie jeść, nie pić i tułać się, to tak mogło być. Dopiero w obozie odzyskałem świadomość. Ale proszę panów, jak z późniejszej wiedzy, wiadomości, informacji, wiemy, w Powstaniu Warszawskim zginęło, wymordowanych zostało około 200 tysięcy ludzi. Ale to nie wszystko, bo w tej liczbie nie uwzględnia się tych, którzy zostali z Warszawy wysiedleni po upadku Powstania. A z tych wysiedlonych jestem przekonany, że co najmniej połowa też zginęła w obozach. Bo Niemcy mieli jeszcze dobre pół roku czasu na to, żeby mordować dalej ludzi w obozach. A wszyscy wysiedleni, cała ludność wysiedlona, jedynie jacyś Robinsonowie, tak jak ten sławny pianista, gdzieś tam przetrwali w gruzach. A tak Warszawa przed wybuchem wojny była milionowym miastem. Przyjmijmy, że na skutek działań wojennych, łącznie z okupacją, część ludności wymordowano, zginęła w walce, powiedzmy. 200 tysięcy zginęło w czasie Powstania, wymordowanych. To jednak znaczną liczbę wysiedlono, to są setki tysięcy tych wysiedlonych. Przyjmijmy, że połowie z tych wysiedlonych udało się przeżyć. To jednak tę liczbę oficjalnie obecnie podawaną, 200 tysięcy zamordowanych, przypuszczam, że śmiało można podwoić. Aczkolwiek brak jest informacji na ten temat, ale takie jest moje osobiste przekonanie. I teraz powstaje pytanie, co za idiota mógł się posunąć do tego, żeby jedną najgłupszą w świecie decyzją spowodować wybuch Powstania. Bo weźmy pod rozwagę takie fakty. W owym czasie od wschodu szła armia radziecka, zbliżała się już do Wisły. To armia radziecka, można mówić armia zaborcy, a nawet okupanta. W każdym razie armia wielce nieprzyjazna Polakom, a zwłaszcza akowcom i całej tamtej formacji politycznej. Więc od wschodu zbliża się milionowa armia radziecka, doskonale uzbrojona, wyćwiczona w bojach wieloletnich, nie lubiąca Polaków od pokoleń. Z drugiej strony armia niemiecka, milionowa, świetnie uzbrojona, wyćwiczona w bojach. I raptem po środku jakiś kretyn zbiera parę tysięcy cywili, nieuzbrojonych, uzbrojonych częściowo, że co dziesięć miał tam jakąś pukawkę śmieszna wręcz na tamte czasy. I przy pomocy tych paru tysięcy ludzi on chce tu wyzwolić jakąś enklawę i przyjąć Rosjan jako gospodarz. No, przecież to obłąd jest. I na skutek tej obłądnej decyzji wymordowano, bo to ja ryzykuję i niech mi kto mi wytłumaczy, że nie mam racji, że wymordowano co najmniej pół miliona warszawiaków. Już po wojnie miałem bardzo bliskiego znajomego, starszego ode mnie, który walczył w Powstaniu Warszawskim. I pytałem go: „Czesław, jak to było?” To jeszcze dziesiątki lat temu go pytałem, bo już człowiek dawno nie żyje. Ze 30 lat temu go pochowałem. Ja go pochowałem, ponieważ nie miał nikogo bliskiego. I pytałem go, wtedy jeszcze o tych sprawach, nie myślałem tak poważnie, jeszcze byłem młody, mnie to wszystko tak dosyć na dystans interesowało. Pytałem go: „Czesław, jak to było?” Niektórzy ludzie mówią w niektórych informacjach, że byliście niedobrojeni, że nie wszyscy mieliście broń. On mówi: „Słuchaj Wiesław, jak stawiałem się na zbiórkę, już do wybuchu Powstania, godzina „W”, stawiałem

się w umówionej placówce i tam jakieś przydziały organizacyjne i tak dalej. I ja wreszcie pytam dowódcę, czy dostanę jakąś broń. Dowódca dumnie wypiął pierś, powiedział surowym tonem: „Broń zdobędziemy na wrogu”. Jak ten Czesław mi to opowiadał, to widziałem, że mało go szlag nie trafiał. I taka była prawda, przecież ci Powstańcy nie mieli czym walczyć. Wystarczy współczesne jakieś informacje na ten temat poczytać, to człowiek się ugruntuje w tym przekonaniu, że to był idiotyzm absolutny. Zresztą ja sam byłem świadkiem tego w moim mieszkaniu na Starówce. Ponieważ jak wspominałem na wstępie, schodzili się do nas znajomi, którzy mieli coś tam do schowania, ponieważ mieszkanie było takie mało uczęszczane i bezpieczne, jeżeli chodzi o kontakty. I w moim mieszkaniu, przy pomocy maszynki do mięsa mielono jakiś materiał wybuchowy i robiono z tego granaty. „Filipinki” tak zwane się one nazywały. To przecież była dziecinada. Jeszcze do tego, jak ten wątek już podłapałem, to jeszcze to panowie, przecież te piosenki powstańcze, które obecnie śpiewamy i 1 sierpnia na Placu Zwycięstwa pan prezydent pięknie to śpiewa ze wszystkimi, to przecież teksty tych piosenek, niektóre, zastanowić się głębiej, no, to jest coś strasznego. No, taki tekst: „A na »Tygrysy« mają »Wisę«, to Warszawiaki fajne chłopaki są”. „Na »Tygrysy« mają »Wisę...”. proszę się nad tym zastanowić. »Wisę«, pistolecik taki, którym można się strzelać na odległość kilkudziesięciu, kilkunastu metrów i z takim pistolecikiem hu, hu, hu, idziemy na »Tygrysy«, a »Tygrysy«, jedne z najlepszych bojowych czołgów okresu II wojny światowej. To kpiny są. Niektóre te piosenki są piękne, na przykład „To my, dzieci Warszawy”, ale niektóre są zupełnie idiotyczne. I w taki idiotyczny sposób wywołano to Powstanie. To przecież to obłąd. Nikt mi nie wytłumaczy, że może być inaczej. Zresztą to nie jest taka pojedyncza rzecz, pojedynczy wątek, bo ta głupota z wywołaniem Powstania wpisuje się idealnie w decyzję naszych polityków z okresu poprzedzającego wybuch wojny i w trakcie wojny w 1939 roku. Proszę panów, weźmy pod uwagę, nie wnikając w jakieś niuanse i zawiłości polityki, i tak dalej. 1 września wybuchła wojna. 16 września, mimo że wojsko dalej toczy walki, sieprza z Polski cały polski rząd. Uciekają z kraju po dwóch tygodniach. 17 września ucieka sam wódz naczelny, generał Rydz-Śmigły. Ucieka w czasie, kiedy jego wojsko jeszcze walczy. On ucieka z kraju. To jest coś niewyobrażalnego. Przecież w każdej armii cywilizowanego narodu we współczesnych armiach z okresu wojny, w armii niemieckiej, gdyby generał zdezerterował z armii hitlerowskiej albo z armii radzieckiej, to na końcu świata by go dogonili i rozstrzelali. A tutaj jeszcze z takich ludzi robi się bohaterów. Oni potem, przecież tak jak generał Bór-Komorowski, jeszcze był cenionym politykiem i cieszył się poważaniem w kręgu Rządu na Uchodźstwie. Jak to w ogóle, to jest czysty feudalizm. Takie traktowanie własnego narodu. Ty się bij, a ja skoczę po kij. Ty się bij, a ja uciekam do Anglii. I zresztą ci politycy zachodni, ten nasz rząd, który zwiął do Anglii i powiedzmy rezydował potem w Anglii, na pewno nie jestem na tyle znawcą historii, ale na pewno Bór-Komorowski z własnej inicjatywy nie zdecydował o wybuchu Powstania. Musiał to konsultować na pewno z Rządem na Uchodźstwie. No, to przecież to jest zdrada najwyższego kalibru. Ci ludzie powinni być rozstrzelani i zhańbieni po wieczny czas. Taka myśl mi się jeszcze nasuwa, jeżeli chodzi o wybuch Powstania. Jako puenta poniekąd. Stalin, Józef Wissarionowicz Stalin, straszny dzierżymorda, zbój i morderca milionów ludzi, chyba w najśmielszych snach nie marzył o tym, że ktoś mu zrobi taki prezent jak Bór-Komorowski, wywołując Powstanie. Przecież dzięki Powstaniu Warszawskiemu Stalin miał oczyszczoną opozycję. Wymordowano pół miliona warszawiaków, którzy z chwilą utworzenia, bo rząd ten ludowy, pewnie PRL i tak by powstał, ale powstałby i w tym państwie nadal istniałaby cała ta opozycja warszawska, która została wymordowana. I to byłby szalony kłopot dla komunistycznej władzy i tym samym dla towarzysza Stalina. A tak Bór-Komorowski oczyścił mu to pole działania w sposób idealny. Cała opozycja została wymordowana. I kto to zrobił? Polski generał z okresu międzywojennego. Taka jest moja puenta, jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie. Jeśli panom to nie wadzi, to gotów jestem przejść do mojego pobytu w sanatorium w miejscowości Bergfelde, by Berlin.